

BRANŻA WIATROWA W AGONII A RZĄD ZASTANAWIA SIĘ: RATOWAĆ CZY ZABIĆ? [KOMENTARZ]

Uchwalona w 2016 roku ustawa odległościowa zamroziła rynek wiatrowy. Od tamtej pory nie zaczęto nawet jednej inwestycji. Gdy pojawia się światełko w tunelu w postaci zapowiedzi nowelizacji, część obozu władzy mówi: "No pasaran!".

Lipiec 2012 roku. Grupa wpływowych posłów PiS m.in. z przyszłymi ministrami Anną Zalewską, Andrzejem Adamczykiem i Krzysztofem Tchórzewskim przedstawia w Sejmie projekt tzw. ustawy antywiatrakowej. Głównym jego założeniem było wpisanie elektrowni wiatrowych o mocy ponad 0,5 MW do spisu budowli. Skutkiem byłoby to, że minister środowiska, uzyskując obowiązek wydawania rozporządzenia określającego warunki techniczne musiałby je określić z uwzględnieniem 3-kilometrowej strefy ochronnej. Po burzliwej debacie, zostaje skierowana do podkomisji, ale w marcu 2014 zawieszona ona pracę nad projektem.

Październik 2014 roku. "Skandalu wiatrakowego w Sejmie ciąg dalszy. Sprawcami tego skandalu są posłowie PO i PSL. To oni metodą różnych obstrukcji, opóźnień, niemożności zwołania komisji doprowadzili do tego, że po dwóch i pół roku projekt oczekiwany, zawierający zapisy dotyczące lokalizacji elektrowni wiatrowych i ich odległości od siedzib ludzkich praktycznie rzecz biorąc dzisiaj został skazany na wykreślenie, na wyrzucenie" – mówi Andrzej Adamczyk, wówczas poseł PiS, minister infrastruktury in spe.

Pamiętne wybory w 2015 roku zbliżają się nieubłaganie, a ustawa odległościowa wisi nad branżą jak miecz Damoklesa.

Czas się zatrzymał

Nadchodzi lipiec 2016 roku i ustawa odległościowa wchodzi w życie. Wpisuje ona wiatraki pod prawo budowlane stanowiąc, że nową elektrownię wiatrową będzie można postawić w odległości nie mniejszej niż 10-krotność wysokości wiatraka (razem z łopatomy) od zabudowań mieszkalnych i mieszanych oraz obszarów przyrodniczo uważanych za cenne.

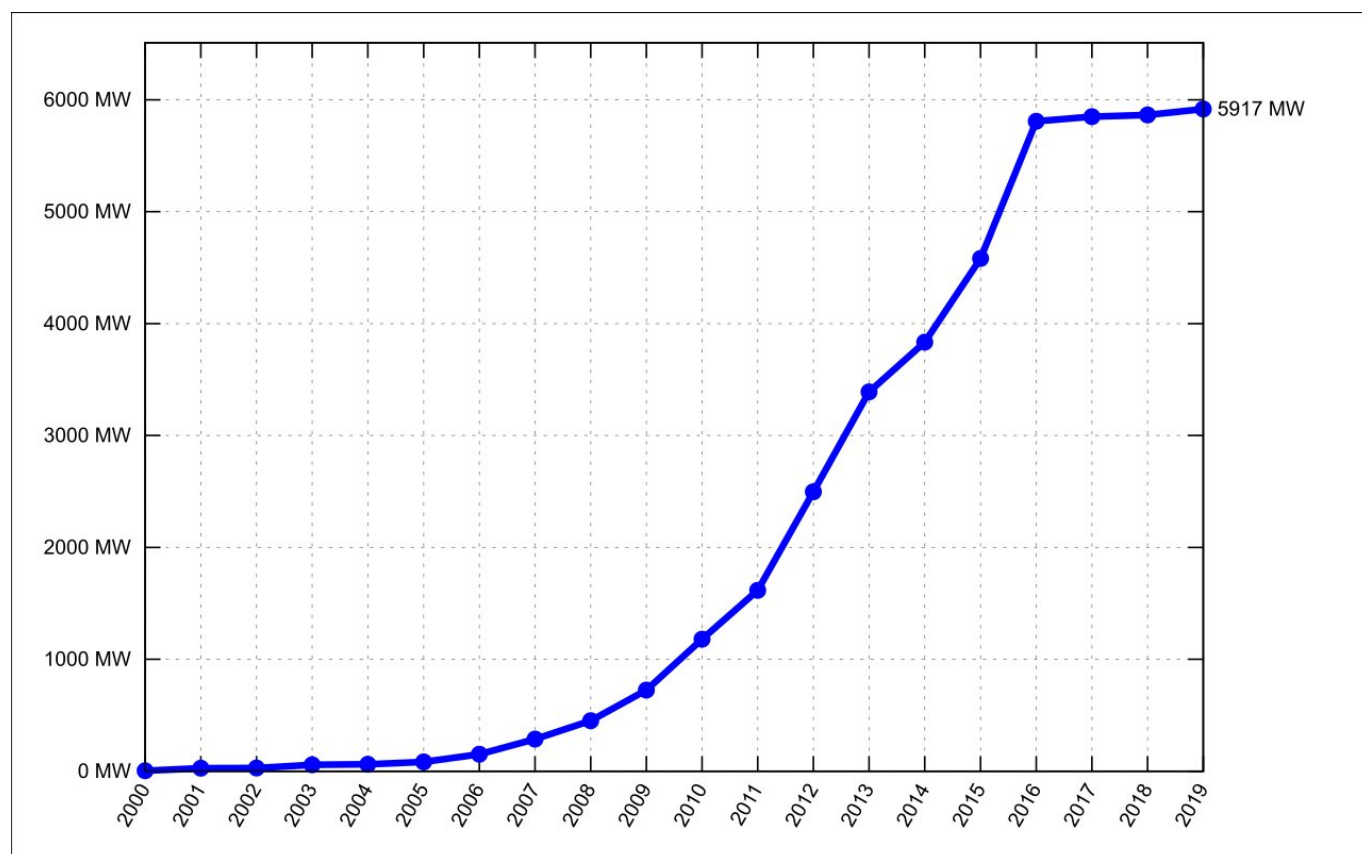
Od tamtego momentu czas się zatrzymał. Oglądaliśmy dobry film o czystej energii a Sejm wcisnął pauzę. Dynamicznie rozwijająca się branża zamarła. Nikt nawet nie śnił o nowych inwestycjach, ale pozostał problem tych będących w trakcie realizacji. Ostatecznie tej części, która była w zaawansowanym stadium, pozwolono ukończyć budowę po noweli ustawy.

A teraz zestawmy to z [wydarzeniami wtorkowymi](#), kiedy minister aktywów państwowych Jacek Sasin pojechał do Katowic z propozycją restrukturyzacji górnictwa, która zakładała zamknięcie tylko dwóch kopalń. Właściwie jeszcze przed rozpoczęciem rozmów strona rządowa wycofała się po wypowiedziach

medialnych związkowców przyznając słowami rzecznika MAP, że "szkoda czasu na dyskusję nad dokumentem, który nie uzyska akceptacji".

Tam jednym ruchem zamrożono całą branżę, tutaj ruszenie czegokolwiek graniczy z cudem.

Od 2000 roku energetyka wiatrowa rozwijała się w tempie niemal geometrycznym. Od zera w 16 lat przeszła do prawie 6 GW zainstalowanej mocy. I wtedy została gwałtownie zahamowana, co obrazuje poniższy wykres. Lekkie wzrosty w latach 2016-2019 wynikają z oddawania projektów rozpoczętych przed wejściem w życie ustawy odległościowej.



Jak wygląda sytuacja w liczbach? "W maju 2019 r. na rynku było ponad 8 GW mocy w projektach wiatrowych, z czego 4,1 GW w projektach bez pozwoleń na budowę. Te 4,1 GW to de facto zamrożony przez ustawę odległościową potencjał energetyki wiatrowej na lądzie. Jedynie projekty z ważnymi pozwoleniami na budowę mogły się starać o wsparcie w ramach aukcji z 2018 i 2019 r., po których powstanie łącznie ponad 3,2 GW nowych mocy w farmach wiatrowych na lądzie. Na rynku jest jeszcze 1,2 GW, które mogą startować w aukcjach przy obecnych regulacjach" - przekazuje nam Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej.

Branża szacuje straty inwestorów w związku z wejściem w życie ustawy odległościowej w takiej formie na 400 mln zł. "Gdyby ustawa nie weszła w życie, to energetyka wiatrowa rozwijałaby z podobną dynamiką jak w ostatnim okresie przed jej wejściem w życie. Wtedy widzieliśmy wzrosty rzędu nawet 1-1,2 GW rocznie. To oznacza, że potencjał w zamrożonych projektach zostałby w te 4 lata wyczerpany, a do tego inwestorzy rozwijaliby zupełnie nowe projekty w niezagospodarowanych dotąd lokalizacjach" - dodaje rzeczniczka PSEW, Agnieszka Wieczerek-Krusińska.

Nierozsądne byłoby założenie, że brak regulacji określającej minimalną odległość wiatraków od zabudowań mieszkalnych to stan normalny. Nikt nie chce mieć wielkiej i głośnej maszyny na swoim podwórku. Podczas konferencji w Koźminie, na której padła zapowiedź nowelizacji ustawy, minister rozwoju Jadwiga Emilewicz wymieniała sytuację, gdzie wiatrak postawiono 80 metrów od domu.

Przykład skrajny, ale brak przepisów dopuszczał tego typu patologie.

Można zatem założyć, że inicjatywa polityków wyszła z chęci ochrony mieszkańców. Nie ma co się dziwić – są wśród nich wyborcy, którzy zresztą głośno domagali się regulacji w tym zakresie. Jednak ze skrajnego chaosu panującego przed ustawą 10H przeszliśmy na drugi biegun skrajności, który spowodował, że branża za chwilę będzie w stanie agonii. Nastąpiło klasyczne wylanie dziecka z kąpielą.

Rzecz jasna, farmy, które już funkcjonują i dostarczają prąd lokalnym podmiotom, będą działać i zarabiać – i w sumie na tym będzie polegać cała branża w Polsce, o ile nie dojdzie do nowelizacji.

Na podium drakońskich odległości

Zwolennicy ustawy odległościowej argumentują, że inne kraje, np. Niemcy, wprowadzili niemal identyczne prawo, również odnoszące się do 10-krotności odległości. Tyle, że u naszych zachodnich sąsiadów również przyniosło to katastrofalne skutki w postaci 80% spadku inwestycji i przeprowadzili w tym roku reformę, wedle której decyzja o odległości od gospodarstw domowych będzie leżeć w gestii władz landów.

Jak sytuacja wygląda w pozostałej części Europy? Austria – 800 - 1200 m, (w zależności od landu), Belgia 400-600 m, Albania, Bułgaria, Bośnia, Chorwacja, Czechy, Grecja, Islandia, Kosowo, Łotwa, Litwa, Luksemburg, Malta, Czarnogóra, Norwegia, Portugalia, Rumunia, Serbia, Słowacja, Słowenia, Hiszpania, Szwajcaria, Walia, Irlandia Północna – 500 m, Anglia – 800 m, Szkocja – 2000 m, Szwecja, Węgry, Estonia, Finlandia – 1000 m, Niemcy – 500-1250 m (w zależności od landu), Włochy – 750 m, Niderlandy – 400 m. Polsce przypisano 1250 metrów, choć w rzeczywistości, licząc, że duży wiatrak z wyprostowaną łopatą średnio ma ok. 150 m, to będzie to bliżej 1500 m, czasem nawet do 2 km. Widzimy zatem, że większość Europy skłania się ku odległości 500 m, a Polska ma po Szkocji i obok niemieckiego landu, Badenii-Wirtembergii, najbardziej restrykcyjne prawo odległościowe na kontynencie. Europejska mediana odległości to 500 m, średnia – 710 m. Dane za [zestawieniem](#) przygotowanym przez KE.

Po co w ogóle wiatraki?

Można by zapytać, czemu zmieniać przepisy, czy potrzebujemy w ogóle więcej wiatraków? Potrzebujemy z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, w tej czy innej formie i tempie będziemy musieli stopniowo redukować emisję CO₂, wedle unijnego planu klimatycznego. Jako największy producent węgla w Europie ([tak, już przegoniliśmy Niemcy](#)), który czerpie z tego surowca ok. $\frac{3}{4}$ energii, nie mamy innego wyjścia niż rozwijać system nieemisyjnych źródeł. Na 2020 rok cel OZE dla Polski wynosi 15%, podczas gdy, wedle wicepremier Emilewicz, [osiągniemy 13%](#). Różnica może nie jest kolosalna, ale wiele mówi fakt, że w 2016 roku energia odnawialna stanowiła 12,4% miks, podczas gdy jeszcze w 2015 - 11,6%. Wzrost z 2015 na 2016 był zatem wyższy niż z 2016 na 2020. Można zaryzykować tezę, że gdyby nie tak restrykcyjna ustawa odległościowa, cel zostałby osiągnięty.

Po drugie, energia z wiatru jest po prostu tańsza niż z węgla. Za 1 MWh prądu z wiatru zapłacimy ok. 150 zł a za tę samą ilość z węgla ok. 250 zł, nie doliczając kosztów emisji CO₂ w systemie ETS (dane z listopada 2018 r.).

Straconych lat nikt nam nie wróci. Jest jednak szansa na powrót na ścieżkę dynamicznego wzrostu energii odnawialnej w Polsce. Główne założenie [ustawy](#), która ma w sierpniu trafić do prac legislacyjnych rządu nie znosi zasady odległości 10H. Daje tylko furtkę do zmniejszenia tego dystansu za zgodą mieszkańców i samorządu.

Wydaje się, że takie rozwiązanie powinno być wprowadzone od razu, bo jeśli mieszkańcy nie mają nic

przeciwko wiatrakom oddalonym np. o 600 czy 800 m od ich domów to po co im tego zabraniać?

Opór w obozie

Jednak nawet ta furtka może pozostać zamknięta. Jeszcze tego samego dnia, gdy wicepremier Emilewicz dosyć nieśmiało ogłosiła rozpoczęcie konsultacji nt. projektu, uaktywniła się grupa w obozie rządzącym, która jest przeciwna jakimkolwiek zmianom w ustawie. Na Twitterze odezwała się była minister edukacji, obecnie europoseł Anna Zalewska, jedna z inicjatorek ustawy odległościowej. "Energia odnawialna - TAK. Zmiana ustawy odległości elektrowni wiatrowych od domów - NIE, brak przyzwolenia społecznego." Zawtórował jej wiceminister aktywów państwowych Janusz Kowalski: "Zdecydowanie zgadzam się z Anną Zalewską, która walczy w Europarlamencie o zachowanie konkurencyjności polskiej gospodarki przeciwstawiając się skutecznie ideologicznemu niemiecko-unijnemu „zielonemu” (tylko z nazwy) walcowi! Jestem odporny na lobbing zagranicznych koncernów. Działamy!". Ewidentnie część obozu władzy jest przeciwna zmianom w ustawie.

Stąd przedsiębiorcy będą mogli otwierać szampana, czy raczej wziąć się do pracy nad nowymi inwestycjami, dopiero gdy ustawa faktycznie wejdzie w życie. Wicepremier Emilewicz zapowiadała już nowelizację w październiku 2019 roku, następnie w [styczniu 2020 roku](#), a ostatnio w środę 29 lipca w Koźminie przedłużając potencjalny moment wejścia w życie ustawy na koniec bieżącego roku. Dlatego kolejną zapowiedź należy przyjąć z rezerwą. Sam uwierzę w liberalizację ustawy dopiero, gdy uzyska ona podpis prezydenta.

Pamiętajmy również, że farmy wiatrowe, które obecnie funkcjonują w Polsce, nie są wieczne - w przypadku braku nowelizacji w ciągu dwóch dekad najprawdopodobniej musielibyśmy zmierzyć się z niemal całkowitym zniknięciem farm wiatrowych z Polski. "Nasze parki wiatrowe są stosunkowo młode. To oznacza, że ze znaczącym wycofaniem mocy wiatrowych z eksploatacji zderzylibyśmy się w latach 30, po 25-letnim okresie eksploatacji farm oddawanych do użytku. Do 2042 r. z rynku wycofanych zostałyby ponad 5,8 GW pracujących dziś mocy w farmach wiatrowych na lądzie, a więc de facto prawie cały zbudowany przez poprzednie lata potencjał" - podsumowuje PSEW.